

JĘDRZEJ LICHOTA

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Inna strona ludowej muzyki (dziennik terenowy – fragmenty)

Dzień 7 (9.04.2014)

(...) Druga część dnia była o niebo ciekawsza. Nieco już wyluzowany, przechadzałem się spacerowym tempem po miasteczku, odkrywając przy tym najmniejsze jego zakamarki. Szukałem też czapki, ale takiej normalnej, na uszy. Pogoda panująca w przeciągu ostatnich dni w Przysusze nie była zbyt przyjazna. Odwiedziłem wiele sklepów z odzieżą oraz miejski bazarek. W żadnym z tych miejsc nie dostałem gładkiego wzoru! Same paski. Jak stwierdziła jedna ze sprzedawczyń: „Takie modne były w tym roku”. No cóż. Trendów się nie wybiera, a proste, klasyczne wzory jak widać nie w modzie. Nieco zrezygnowany, ponieważ z wyprawy wracałem z pustymi rękoma (a raczej z „pustą” głową), spotkałem przypadkowo Olę oraz Piotra na Placu Kolberga. Później dołączyła również Iza, która pełna euforii trzymała w ręku reklamówkę wypełnioną po brzegi domowej roboty pączkami z marmoladą (chyba też domową). Nie ekscytowało mnie to zbyt, ponieważ kilka godzin wcześniej miałem okazję takiego spałaszować podczas wywiadu. Taka oto zebrana grupka koniecznie chciała wrzucić coś na ząb w zaprzyjaźnionej knajpie nieopodal pływalni. Ja niezbyt byłem głodny, dlatego się wahałem. Stosunkowo silna agitacja ze strony moich kompanów nie pozostawiała mi jednak zbyt dużego pola manewru.

– No dobra... Może wezmę kawę – powiedziałem bez przekonania.

I w drogę! Kiedy byliśmy pod Domem Kultury, Izabela odłączyła się od reszty pod pretekstem dokończenia rozmowy z jednym z informatorów. Tik-Tak: chwila zwątpienia. Może też mi się uda wymusnąć – pomyślałem. Dosłownie w tym samym czasie zauważyłem, że po drugiej stronie ulicy maszeruje dzielnie jakiś starszy pan.

– Wiecie co, chyba jednak pokręcę się jeszcze po okolicy i może jeszcze kogoś znajdę – oznajmiłem wygłodniałym kolegom.

– OK, nie chcemy marnować Twojego czasu – odpowiedział ironicznie Piotr.

Oni w lewo, ja w prawo. Nieznajomy pan jakieś 10 metrów ode mnie. Wdech – wydech i... Zagaduję.

Eureka! Ten pan jest grajkiem ludowym.

Oto Pan Jan – skrzypek. Na Dniach Kolbergowskich zgarnia wszelakie nagrody za wyśmienite pokazy gry na tym wspaniałym instrumencie. Głównie pierwsze miejsca – a jakby inaczej. Początkowo myślał, że zagaduję go, ponieważ chcę się uczyć grać na skrzypcach. W sumie to chciałbym... Bez zastanowienia przejąłem siatkę z zakupami starszego pana, a ten poprowadził mnie na pobliski szpitalny parking. Ciekawe po co? – pomyślałem. Po chwili moim oczom ukazał się najprawdziwszy, lśniący wściekłą czerwienią mały fiat.

– To pana samochód? – zapytałem zaskoczony. Oprócz zakłopotania w moim głosie pobrzmiwało lekkie przerażenie.

– No mój, a co się dziwisz? – odparł Pan Jan.

W sumie sam nie wiem czemu się tak zdumiałem, ale... Na tylnej półce, tuż za siedzeniami, przez szybę dostrzegłem kawałeczek kartki od deklaracji podatkowej, a na niej rok urodzenia Pana Jana – 1936.

Zakupy do auta i do przychodni. Lekarz! Przyjechał do lekarza! Teraz już wiem, dlaczego szpitalny parking – jakże byłem dumny z własnej błyskotliwości. Pan Jan poszedł „wybadać”, jak się ma kolejka do jego doktora. Po chwili wrócił i żwawo oznajmił:

– Kolejka na godzinę! Możemy iść do malucha – zaproponował otwarcie.

Super! Czym prędzej przyszykowałem sprzęt do nagrywania i kwestionariusz. Wywiad na speedzie! Dawno nie siedziałem w Fiacie 126p. Przypominają mi się czasy dzieciństwa, choć ojciec posiadał wersję starszą, gdzie silnik uruchamiano się takim wihajstrem pomiędzy siedzeniami. A ten tutaj to wersja „Elegant” – Pan Jan chwali się nieskromnie.

Akustyka naszych głosów w tym małym pojeździe była świetna. Z pewnością typ podbicia dachu, którego *de facto* na próżno można szukać we współczesnych automobilach, przyczynił się do tego. Klimacik pierwsza klasa. Po pewnym czasie Pan Jan poszedł na wizytę do lekarza. Sam zostałem w poczekalni, ponieważ nie skończyłem przeprowadzać wywiadu. Po jego powrocie znów udaliśmy się do pojazdu i kontynuowaliśmy rozmowę. W pewnym momencie (po pytaniach o instrumenty ludowe) Pan Jan wspomniął, że ma znajomego, który wytwarza takie cacka. Skrzypce, basy i inne lutnicze – to dla niego pestka. Starłem się jakoś zrobić muzykanta, aby podał mi namiary na rzemieślnika. W rezultacie Pan Jan gwałtownie wyjął kluczyki z kieszeni i wybudził ze snu „czerwoną bestię”. Jeszcze tylko pas i można zaczynać podróż do Kuźnicy!

W pierwszych minutach jazdy byłem nieco przerażony. Pan Jan bowiem co jakiś czas zjeżdżał na przeciwległy pas ruchu. Uff... Na szczęście tylko czasami. Okazało się, że ten 78-latek bardzo żwawo radzi sobie za kółkiem. Robiło się szaro i zacząłem się obawiać, czy poradzi sobie z powrotem o zmroku.

– Panie, oczy to ja mam zdrowe! I światła też przecież mam! – rzucił w odpowiedzi, rozwiewając moje wątpliwości.

I faktycznie – na sporym nosie nie było miejsca na zbędne binokle.

Robiło się już całkowicie ciemno, kiedy dojechaliśmy do celu podróży. Chwilę siłowałem się z drewnianą (ale nowoczesną) bramą od podwórza, aby „czerwona bestia” mogła sobie odpocząć po dziesięciokilometrowym rajdzie. Pan Jan wszedł na ganek i zapukał do drzwi. Cisza. Zarepetował... Cisza! Jak makiem zasiał.

- Co oni, wyjechali? - wyrwał się z milczenia Pan Jan, którego grymas zdziwienia można było klarownie odczytać z twarzy.

Wzruszyłem ramionami. Poszliśmy więc do budynków gospodarczych - może nasz rzemieślnik akurat pracuje? Niestety nie. Wszędzie było ciemno. Pan Jan ponownie próbował uderzać, tyle że nie w drzwi tylko już w okno.

- Halo, otwieraj!! - krzyknął zniecierpliwiony muzykant.

Nagle w oknie coś się poruszyło. Są w domu! Drzwi otworzyła zaspana kobieta.

- Piotr! Ubieraj się, gości masz! - pospiesznie zawołała do swojego małżonka.

Po chwili, z lekkim zdumieniem na twarzy, pojawił się mistrz budowy ludowych instrumentów muzycznych - i to w pełnej krasie. Białe spodnie dodawały mu elegancji, która jednak kłóciła się nieco ze zmęczoną aparycją i rozczochranymi, siwymi włosami. Dwaj dobrzy przyjaciele przywitani się serdecznie w sieni. Widać było, że dawno się nie widzieli.

Po wejściu do pomieszczenia, które wyglądało jak dawna izba (czarna), dostrzegłem stary piec po jednej stronie, a po drugiej - usytuowane naprzeciw - nowoczesne meble kuchenne, przez które gospodarz najwyraźniej starał się sprawiać wrażenie, iż jest to współczesna chałupa na miarę XXI wieku. Ciekawy kontrast - myślę sobie. Ale okej - zostawmy to, bo to nie o to chodzi w tej niespodziewanej wizycie.

Dosłownie chwilę po rozgoszczeniu Pan Jan zapytał swojego przyjaciela:

- Piotr, skrzypki masz?

- Ano mom! - żywiłowo odpowiedział gospodarz.

- To dawaj! - rzucił ten pierwszy.

I już po chwili przyniósł instrument, wykonany oczywiście własnoręcznie przy użyciu prostych narzędzi stolarskich. Pan Jan niecierpliwie chwycił smyczek w dłoń i pospiesznie wydał pierwsze, cudowne dźwięki ze skrzypiec. Emocje narastają. Wraz z tymi pierwszymi dźwiękami pojawiły się mimowolnie pierwsze ciarki na plecach. Tak oto działa prawdziwa muzyka. Wcale nie kryłem ekscytacji. Dawno nie słyszałem czegoś takiego.

Po pierwszym, solowym występie Pana Jana gospodarz przyniósł też bębenek (także wykonany własnym sumptem) i muzykanci urządzili spontaniczny koncert. Czego chcieć więcej?! Kamera i rejestrator audio na miejscu - to ważny materiał! A żona Pana Piotra tylko się przyglądała, oparta na jednej ręce o stół nakryty czerwono-białą ceratą, dyskretnie kołysała się przy tym w rytm muzyki...

Nic więcej nie piszę. Za dużo emocji. To trzeba przeżyć! No ale nagranie - obraz plus dźwięk też coś daje. Tak. Daje jedynie ułamek tego, co przeżyłem.

Dzień 8 (10.04.2014)

Ahoj! Witaj dniu ósmu. Wspominając stale dzień poprzedni, już od rana wyczekiwałem spotkania z Panem Piotrem, budowniczym instrumentów muzycznych. Oczywiście, zanim tam się udałem, miałem do zrobienia dwa wywiady...

(...) Po „odklepaniu” wywiadów pobiegłem czym prędzej pod muzeum, bo umówiony transport już czekał na pobliskim parkingu. Dziesięć minut później byłem pod domem Pana Piotra i jego żony. Ani chwili odpoczynku. Ani kęsa jedzenia. Obwieszony wszelakim (i niezbędnym) sprzętem w postaci dwóch aparatów (jeden do fotografowania, drugi do wideo), rejestratorem audio, plecakiem oraz małym świstkiem z zapisanymi pytaniami (które *de facto* układałem w czasie przemieszczania się spod muzeum), wyruszyłem na samotne, etnograficzne spotkanie ze starszym państwem. Trzymając kciuki za to przedsięwzięcie, życzyłem sobie, by przy okazji zdobyć cenne, terenowe doświadczenie.

Biorąc głęboki wdech, wszedłem na wiejską posesję. Nim zdążyłem postawić stopę na schodach, z domu wyskoczyło małżeństwo. Moje sielankowe nastawienie momentalnie prysło. Poczulem się bowiem jak pod ostrzałem artyleryjskim. Pan Piotr wraz z małżonką nie szczędzili pocisków bojowych w postaci gwałtownych i szczegółowych pytań dotyczących mojej osoby. „Coś ty za jeden?” „Co tu robisz?” „Skąd znasz Janka?” – to tylko niektóre z tych, które zostały wycelowane prosto we mnie.

Studenciku etnologii, spokojnie – sam siebie uspakajałem w myślach. Masz na swej głowie mocny hełm, aby bronić się przed takiego typu zarzutami. Masz też muszkiet – wiesz jak go używać, aby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Do boju! Skupiłem się więc i użyłem wyćwiczonej gimnastyki słownej, aby udobruchać podejrzliwe małżeństwo. I... Voilà! Pancierz na mej głowie wytrzymał ciosy. Muszkiet spisał się na medal. Sytuacja opanowana! Małżeństwo zostało uspokojone. Jednym słowem: Zwycięstwo!

W sumie potem pomyślałem, że Pan Piotr i jego żona mieli poważne podstawy, aby być podejrzliwym. Przecież wczorajsza akcja była tak dynamiczna, że nie było okazji, aby w ogóle wyjaśnić: kim jestem i czego tu szukam.

Kiedy już zrobiło się spokojnie, pojawiły się zdecydowanie inne tematy rozmowy. Rozpocząłem więc rejestrację wideo i audio – czas najwyższy, bo zmierzaliśmy już do warsztatu pracy Pana Piotra. Moją uwagę przykuło przede wszystkim wiejskie podwórko, drewniana stodoła (oczywiście pokryta płytami eternitowymi) oraz przydomowa studnia. Ale taka klasyczna, gdzie wodę nadal czerpie się już poważnie skorodowanym wiaderkiem.

W warsztacie było tyle niesamowitych gadżetów, że nie mogłem skupić się na czymś konkretnym. Na stolarskich stolikach można było odnaleźć wszelkiego rodzaju narzędzia, kawałki drewna i szkielety nieukończonych jeszcze instrumentów. Wodząc wzrokiem, natknąłem się na piły, heble i dłuta, ale nie brakło również nowoczesnego sprzętu, w postaci elektrycznych wiertarek i szlifierek, które ułatwiają pracę temu starszemu już lutnikowi. Z podziwem słuchałem mistrza, który wykazał się tak ogromną cierpliwością w stosunku do mnie, do

człowieka, który wziął się niewiadomo skąd i zadaje bezsensowne pytania w stylu „Skąd bierze Pan drewno na instrumenty?”. Komu to jest potrzebne? Przecież nie jest istotne to, jak się nazywa dane narzędzie. Tego się po prostu używa, aby po wielu tygodniach pracy w pocie czoła, stworzyć dzieło sztuki, jakimi są skrzypce, basy czy baraban. Nie jest istotne, ile czasu Pan Piotr spędził w warsztacie, obrabiając, szlifując i polerując drewno. Liczy się satysfakcja ze stworzonego instrumentu, dźwięk, kiedy utalentowany muzykant się do niego dorwie, ale również duma żony Pana Piotra, która wprost się do tego nie przyznaje. Pieniądze zarobione na sprzedaży instrumentów również są ważne. Dzięki nim małżeństwo może na przykład unowocześnić swój dom, jak w przypadku oryginalnej kuchni, gdzie po jednej stronie stoi stary piec, który został zbudowany rękoma Pana Piotra, po drugiej zaś, nowoczesne płytki i szafki kuchenne.

Po zakończeniu przygody w warsztacie Pana Piotra, który stanowi niejako jego azyl, gdzie może się zrelaksować i wyciszyć, przeszliśmy do kolejnego punktu spotkania. Poprosiłem Pana Piotra o pokazanie instrumentów muzycznych, które osobiście wykonał. Nie miał ich zbyt wiele, ponieważ na bieżąco stara się je sprzedawać. Tym, które nie trafiły w ręce grajków, wykonałem szybką sesję fotograficzną. Ponieważ byłem sam, miałem bardzo ograniczone pole manewru. Musiałem obsłużyć jednocześnie kamerę, rejestrator dźwięku, aparat fotograficzny, a dodatkowo stale musiałem skupiać się na tym, co mówi Pan Piotr i dopytywać o szczegóły. Ograniczony czas natomiast pozbawił mnie możliwości wymyślania fantazyjnych kadrów, dlatego ustawionym aparatem w „tryb serii zdjęć” klapałem lustrem niczym zawodowy paparazzi. Starsze małżeństwo tylko cicho się śmiało pod nosami, obserwując chyba nie do końca dla nich zrozumiałe, terenowe poczynania młodego adepta etnologii. Pan Piotr co jakiś czas spoglądał w stronę płotu, który dzieli dwie posesje.

- Sąsiadka będzie się dziwić, co tu się dzieje... - z wyraźnym zadowoleniem powtarzał.

A ja dalej „klap... klap... klap...”. I proszę, żeby lutnik przynosił coraz to inne instrumenty.

- Już mogę zabrać?! - zapytał rozbawiony staruszek.

- Proszę jeszcze chwileczkę poczekać! Jeszcze zrobię z tej strony - odpowiedziałem.

Klap, klap, klap. Przyspieszyłem trochę tempo, ponieważ podobna okazja może się już nie powtórzyć. W pewnej chwili niefortunnie zapytałem, czy Pan Piotr może zagrać na barabanie. Znowu rozejrzał się dookoła.

- Przecież grałem Ci wczoraj! - zaprotestował oburzony rzemieślnik.

- Tak, ale to było z Panem Janem i było wtedy ciemno - ciągnąłem, nie dając za wygraną.

- No dobrze! - rzucił, machając przy tym ręką.

Lekko postukał w instrument, wydobywając z niego tylko delikatne tchnienia dźwięków. Co jest? - głowię się. O nie! Wielki Post - muzykować nie wolno! Na śmierć o tym zapomniałem... Wielki błąd z mojej strony, lecz ekscytacja zaistniała sytuacją wzięła górę nad wszystkim.

Na koniec jeszcze minisesja fotograficzna małżeństwa siedzącego na bordowych, plastikowych krzesłach ogrodowych.

- To koniec, bardzo dziękuję - finalnie orzekłem lekko zdyszonym głosem.

Uśmiech nie zniknął z ich twarzy. Dokładnie tak jak mi wczoraj, kiedy miałem okazję posłuchać spontanicznego występu muzykantów. Emocje, emocje, emocje. Ale pozostało jeszcze sprzątanie. Odstawiłem stół na swoje miejsce, który na potrzeby sesji został przeniesiony na sam środek podwórza. Pani Donata zaproponowała herbatę. Po tym wszystkim z przyjemnością się napiję.

Usiedliśmy więc w kuchni. Napar wraz z kawałkiem cytryny, zaparzony dopiero co nabrana ze studni wodą, smakował wyśmienicie.

W pewnej chwili, dość nieoczekiwanie, starsze państwo postanowiło dokonać zamiany ról i również dowiedzieć się o mnie czegoś więcej. Nie miałem innego wyjścia, jak opowiedzieć o sobie. Zauważyłem przy tym, że z każdym wypowiedzianym słowem i historią dotyczącymi mojej osoby coraz bardziej mnie lubią. Poczuli się po prostu swobodnie i bezpiecznie. Jestem swój. Na tyle „swoj”, że miałem szczyt być poczęstowany tutejszą kiełbasą. Ledwo Pani Donata wniosła kawałek tego delikatesu, a całe pomieszczenie momentalnie wypełniło się aromatem swojskiego, naturalnego wyrobu. Zapach rewelacyjny... Ale ja jestem wegetarianinem! Co robić?! Tonący brzytwy się chwytą... Powiedziałem więc, że boli mnie brzuch, kiedy jem mięso. Mam nadzieję, że się nie obrazili.

Luźno rozmawialiśmy, ale rejestrator nadal był włączony. Wplatałem pytania z kwestionariusza, które udało mi się zapamiętać. Ale tak delikatnie, pomiędzy wierszami. Nie miałem sumienia wyciągać kart z pytaniami i znęcać się nad przemiłym małżeństwem, zadając te sformalizowane pytania. Siedziałem tak długo, dopóki Państwo nie zrobili się znużeni moją obecnością. Pan Piotr ziewał co chwilę, w końcu wstał i rozpałił ogień w piecyku. Pora już iść - pomyślałem. Jeszcze szybka wymiana numerów telefonów. Tak kończę moją przygodę w Kuźnicy. Niebywałe... Jeszcze tam wróć!

W drodze powrotnej napotkałem olbrzymią ilość domków drewnianych z eternitem na dachu. Cyk-cyk-cyk: fotografuję. Zahaczyłem też o sklep w stylu „Tante Emma Laden”, przydrożną, w pełni sprawną studnię i już jestem w Topornii. Niesamowicie głodny, ale również szczęśliwy, że dzień był bardzo owocny. Zebrałem chyba z tonę materiałów.